

TRYPTYK EUROPEJSKI

Franciszek Ziejka

MOJA PORTUGALIA



MOJA PORTUGALIA

TRYPTYK EUROPEJSKI



MOJA PORTUGALIA

MÓJ PARYŻ

MOJA PROWANSJA

Franciszek Ziejka

MOJA PORTUGALIA

Kraków

© Copyright by Franciszek Ziejka and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2008

ISBN 97883–242–1003–9
TAiWPN UNIVERSITAS

Redakcja
Wanda Lohman

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

www.universitas.com.pl

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA 7

Część I

MÓJ DZIENNICZEK PORTUGALSKI
(15 października 1979 – 19 stycznia 1980) 11

Część II

Z MOICH PODRÓŻY PO PORTUGALII 69
W słonecznej Évorze 71
W królestwie Algarve 78
Niepokój w Albernoa 89
Perła w koronie 99
Kochanka Mondego 109
Metropolia znad Douro 117
Wyprawa w przeszłość 127
W cieniu legend 133
Trzy opowieści ze szlaku kamiennej kroniki 142
Opowieść cystersa 143
Opowieść markietanki 147
Opowieść templariusza 151
Miasto na wzgórzach 155
W muzeach Lizbony 175

Część III

TRAGICZNE DZIEJE MIŁOŚCI PEDRA I INÊS 187
Wstęp 189
Przodkowie 191

Pedro 206
Konstancja 216
Inês 231
Szczęśliwe dni 241
Wielka polityka 254
Tragedia w klasztorze św. Klary 272
Bunt 280
Zemsta 291
Pogrzeb 301
Grobowce 308
Até a fim do mundo 321

BIBLIOGRAFIA 329

Część IV

MOJE NAUKOWE PRZYGODY Z PORTUGALIĄ

„Wieczna pamiątka między krześcijany..." Z dziejów legendy Władysława Warneńczyka, ostatniego krzyżowca Europy 335
Portugalski humanista w Krakowie 355
Portugalskie echa powstania styczniowego 369

NOTA EDYTORSKA 385

INDEKS NAZWISK 387

Przedmowa

W dniu 20. lutego 1970 roku po raz pierwszy w życiu wyjechałem za granicę. Po złożeniu maszynopisu doktoratu promotorowi, prof. Henrykowi Markiewiczowi (wydałem go po kilku latach pt. *W kręgu mitów polskich*), podjąłem starania o wyjazd na lektorat zagraniczny. Były dwa główne powody tej mojej decyzji. W pierwszej kolejności chodziło mi o pozyskanie środków finansowych, które pozwoliłyby mi „zdobyć" mieszkanie spółdzielcze w Krakowie, od kilku bowiem lat trwała w moim życiu prowizorka: ja – wspólnie z kolegą, asystentem z katedry etnografii UJ – mieszkałem w dwuosobowym pokoju, w tzw. Domu Młodego Naukowca UJ w Krakowie przy ul. Kanoniczej 14 (o warunkach, w jakich tam mieszkaliśmy, raczej nie należy tu wspominać!), żona zaś Maria z córką Dagmarą mieszkała „kątem" u teściów, w dwupokojowym mieszkaniu w Suchej Beskidzkiej. Od dawna marzyliśmy z żoną o własnym mieszkaniu, ale na to potrzebne były pieniądze, które trudno było zaoszczędzić z niewielkiej asystenckiej pensji. Był także drugi powód mojej decyzji o wyjeździe na zagraniczny lektorat: to nieustanne, obecne w moim życiu od najwcześniejszych lat pragnienie poznania świata. Zawsze „ciągnęło" mnie gdzieś w świat, nieustająco zadawałem sobie znane i bliskie wielu pytanie: co jest za tym lasem? jak żyją inni?

Ostatecznie spędziłem w Aix-en-Provence we Francji siedem semestrów, który to okres zaliczam do najpiękniejszych w moim życiu. Pierwsze trzy semestry przebywałem w Aix sam, na kolejne cztery sprowadziłem rodzinę. Na dobrą sprawę był to prawdziwie pierwszy

– po pięciu latach od zawarcia związku małżeńskiego – okres wspólnego zamieszkiwania z żoną i córką. Jednym z owoców tego mojego wyjazdu do Francji był tom studiów, który wydawnictwo „Ossolineum" ogłosiło w 1977 roku pt. *Studia polsko-prowansalskie.*

W połowie 1973 roku powróciłem z rodziną do Krakowa. Na nowo podjąłem zajęcia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ponieważ w czasie pobytu we Francji utrzymywałem bliski kontakt z macierzystą uczelnią i krakowskimi przyjaciółmi, nie miałem kłopotów z wejściem na nowo w krwiobieg życia środowiska akademickiego Krakowa. Niewątpliwie, zdobyte we Francji doświadczenia naukowe i dydaktyczne znacząco pomogły mi w prowadzeniu badań, a także w uprawianiu dydaktyki. Ale nie tylko. „Zaprawiony" w samodzielnych działaniach, nie obawiałem się odtąd podejmować coraz trudniejsze wyzwania. Jednym z nich była moja zgoda na poprowadzenie redakcji wydawanego przez Polską Akademię Nauk dwumiesięcznika „Ruch Literacki" (formalnie – jako sekretarz redakcji). Po pewnym czasie przyszło jednak wyzwanie znacznie większe.

Stało się to pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy kończyłem prace redakcyjne przy mojej rozprawie habilitacyjnej. To wówczas z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego i Techniki otrzymałem propozycję wyjazdu do Lizbony w celu założenia na tamtejszym uniwersytecie pierwszego w dziejach Portugalii lektoratu języka i kultury polskiej. Głównym powodem przedstawienia mi tej propozycji – jak mnie przekonywano w Ministerstwie – były dobre rezultaty mojej pracy na Uniwersytecie Prowansalskim (muszę tu wyjaśnić, że dzięki pomocy ówczesnego dyrektora Instytutu Językoznawstwa Ogólnego i Slawistycznego, prof. Paula Garde'a, udało mi się powołać do życia w Aix-en-Provence poszerzoną wersję studium polonistycznego, do dziś istniejący tzw. *Diplôme polonais*). W sytuacji, gdy właściwie rozprawa habilitacyjna była gotowa, a od wydawcy (PIW) uzyskałem pisemne zaświadczenie, że moją książkę pt. *Złota legenda chłopów polskich* przyjmą do druku, uznałem, że warto podjąć wyzwanie i spróbować sił w Portugalii. W ten sposób w połowie października 1979 roku dotarłem do Lizbony. Od samego początku przewidywałem, że będzie to jednoroczny pobyt i tak się stało.

Mając świadomość, że podejmuję się zadania dość niezwykłego (w Portugalii wszak nigdy wcześniej nie uczono języka polskiego na uczelni, nie prowadzono także wykładów o historii Polski i jej kultu-

rze), postawiłem przed sobą ambitne zadanie: poznania języka portugalskiego, dokładnego w miarę zwiedzenia kraju, a także podjęcia badań nad stosunkami kulturalnymi i literackimi polsko-portugalskimi.

Pamiętając o zaleceniach mojego opiekuna ze studiów, prof. Wacława Kubackiego, od pierwszych dni pobytu w Lizbonie postanowiłem prowadzić dziennik, który mógłby być dla mnie, a przede wszystkim – dla moich najbliższych świadectwem zajęć i działań w Lizbonie. Tak powstał też *Mój dzienniczek portugalski,* który stanowi część pierwszą niniejszej książki. Po kilku miesiącach, gdy posiadłem już znajomość języka portugalskiego, przedsięwziąłem cykl wypraw wzdłuż i wszerz Portugalii – dla poznania tego pięknego kraju. Ponieważ w Krakowie już wcześniej nawiązałem kontakt z kilkoma redakcjami czasopism („Życie Literackie", „Wieści"), wrażenia z tych moich wypraw zacząłem spisywać i drukować we wzmiankowanych pismach. Dzięki temu powstały *Moje spotkania z Portugalią,* które wydałem w wydawnictwie KAW w 1984 roku i które w nieco tylko zmienionej postaci drukuję w niniejszym tomie jako jej część drugą. W tym samym czasie zainteresowałem się bliżej głośną w literaturze pięknej portugalskiej i europejskiej historią wielkiej miłości królewicza portugalskiego Pedra i sławnej z urody Inês de Castro. Uznałem, że możliwość dotarcia do bogatej literatury przedmiotu w Bibliotece Narodowej w Lizbonie daje mi jedyną w swoim rodzaju szansę przedstawienia tej historii polskiemu czytelnikowi. Tak zrodziła się opowieść, którą tu po raz pierwszy podaję do druku (to część trzecia książki).

Pobyt w Portugalii przyniósł także skromne, ale przecież wymierne żniwo historycznoliterackie. Już w czasie pobytu w Lizbonie zaplanowałem przygotowanie tomu studiów polsko-portugalskich, na wzór wydanych wcześniej studiów polsko-prowansalskich. Ostatecznie ogłosiłem z tego zakresu trzy rozprawy, które przedrukowuję w części czwartej niniejszej książki.

Proponując czytelnikowi *Moją Portugalię* pragnę nade wszystko pokazać, jak bardzo interesujący jest to kraj, jak bogatą posiada on historię, jak trwałe nici wiążą jego kulturę z naszą. Pragnę zarazem pokazać, że mój dziewięciomiesięczny pobyt w Lizbonie nie poszedł na marne. Jak miałem okazję stwierdzić to wiosną 2007 roku, dziś nadal na Uniwersytecie Lizbońskim działa założony przeze mnie lektorat języka i kultury polskiej, nadal corocznie przyciąga on grupę kilkudziesięciu słuchaczy pragnących poznać nasz język i naszą kulturę. Pobyt

ten pozwolił mi poznać tak dla nas egzotyczny a jakże piękny język portugalski. Co więcej – udało mi się w czasie tego pobytu nawiązać bliższy, bezpośredni kontakt z przeszłością tego kraju, z jego bogatą kulturą. Po latach, gdy powoli nadciąga czas oglądania się w przeszłość i zadawania sobie pytań, czy nie zmarnowało się swojego życia, postanowiłem zebrać teksty, jakie powstały w czasie mojego pobytu w Lizbonie, a także po powrocie do kraju i ogłosić je drukiem wspólnie – jako swoisty, prywatny *pamiętnik.* Bo przecież bez względu na formę podawczą (dziennik, reportaż podróżniczy, esej historyczny) jest to w rzeczywistości pamiętnik, który powstał (z wyjątkiem trzech studiów o charakterze naukowym) w czasie mojego pobytu w Portugalii. Pamiętnik ten obrazuje wiernie bieg mojego życia w roku akademickim 1979/1980. Sądzę jednak zarazem, że jest on swoistym przyczynkiem do dziejów „odkrywania" Europy. Dla młodszych czytelników będzie on może wskazówką, w jaki sposób warto niekiedy przeżyć europejską „przygodę", jak można nawiązać bliższą znajomość z mieszkańcami innego kraju.

Kraków, 21 stycznia 2008

Część pierwsza

Mój dzienniczek portugalski

(15 października 1979 – 19 stycznia 1980)

15.10.1979 (poniedziałek)

Rankiem odlatuję z Warszawy samolotem PLL „LOT" „Kościuszko" (Il 62). Poprosiłem o miejsce przy oknie, aby można było więcej widzieć. Przede mną – na ściance – dwie płaskorzeźby. Z jednej strony – bitwa racławicka, na drugiej – Bartosz Głowacki wsparty na armacie. Jak widać, moje zainteresowania naukowe „podążają" za mną nawet do samolotu![1] Około godz. 11.00 lądujemy w Genewie (ponieważ należało uzupełnić paliwo, wszyscy pasażerowie musieli opuścić samolot na ok. 30 minut). Z Genewy do Madrytu lot bez historii, lecieliśmy bowiem nad grubą powłoką chmur. Dopiero na krótko przed lądowaniem w Madrycie zobaczyłem ziemię: brunatno-czerwoną. Bez lasów, bez zarośli – jedna wielka, czerwona pustynia. Po godzinie 13.00 lądowanie w stolicy Hiszpanii. Zimno (11°C), leje rzęsisty deszcz. Spośród ponad stu sześćdziesięciu pasażerów tylko jedna rodzina i ja udajemy się do pomieszczenia, gdzie gromadzili się pasażerowie oczekujący na lot do Lizbony. Podjąłem próbę nawiązania rozmowy z tą rodziną, skończyło się jednak na wymianie kilku zdawkowych słów[2].

[1] Od wielu lat problematyka kościuszkowska była mi bliska. Pojawiła się m.in. w pracy doktorskiej o „mitach polskich". Natomiast przed wyjazdem do Portugalii zakończyłem pracę nad pierwszą redakcją książki *Złota legenda chłopów polskich*, w której znalazły się teksty poświęcone literackiej legendzie Tadeusza Kościuszki i Bartosza Głowackiego.

[2] Dziś, tzn. w dwa dni po przylocie, kiedy rozpocząłem pisanie tego „dzienniczka", wiem już, że w Madrycie na lotnisku spotkałem nowego ambasadora Polski w Portugalii, lecącego do Lizbony wraz z małżonką i synem w celu objęcia placówki. Pan ambasador, mimo że powiedziałem mu, iż udaję się na Uniwersytet Lizboński w celu założenia tam lektoratu języka i kultury polskiej, niestety, nie przyznał się, że jest nowym ambasa-

Na lotnisku w Madrycie ruch ogromny. W pewnej chwili usłyszałem zewsząd głosy Polaków. Okazało się, że byli to członkowie licznej delegacji polskich katolików wracających do kraju z Kongresu Mariologicznego! Wśród delegatów spotkałem p. Alicję K., osobę dobrze mi znaną z codziennych spotkań w Bibliotece Jagiellońskiej. Pod wieczór, ok. 18, na pokładzie Boeinga 727 wylądowałem w Lizbonie. Niestety, mimo zapewnień z Ministerstwa, że ktoś z ambasady lub z uniwersytetu będzie mnie oczekiwał na lotnisku, nie było nikogo. Co gorsze, dowiedziałem się, że nie ma połączeń autobusowych z lotniska do centrum miasta. Jedynym środkiem komunikacji jest taxi. W biurze agencji turystycznej otrzymałem wiadomość, że doba w najtańszym hotelu („Excelsior") kosztuje 600 escudów za dobę (czyli tyle, ile otrzymałem w Ministerstwie „na pierwsze tygodnie pobytu"!). Uprzejmy taksówkarz (otrzymał ode mnie „na wstępie" dodatkowo dwie paczki „Marlboro") zawiózł mnie na ulicę „5 Outobro", do pensjonatu „Residence", gdzie otrzymałem nocleg za 350 escudów. Po załatwieniu formalności powróciłem na lotnisko – po walizkę, którą zostawiłem w przechowalni. „Przy okazji" wymieniłem na escudy część mojej dolarowej „fortuny", jaką zaszyła mi w płaszczu przezorna żona. Zmęczony, zmoczony (prawdziwie tropikalny deszcz nie ustał ani na chwilę!), padłem do łóżka...

16.10.79 (wtorek)

Ranek rozpoczął się od poszukiwania siedziby uniwersytetu. Okazało się, że adres, jaki otrzymałem w Ministerstwie, jest nieaktualny. Wreszcie udało mi się dotrzeć metrem do siedziby uczelni, w której mam podjąć pracę. Jest to nowy kampus uniwersytecki, trochę przypominający ten z Aix-en-Provence. Już na początku pojawiają się spore trudności, nikt bowiem z napotkanych „tubylców" nie zna języka francuskiego. Wreszcie znajduję dziekanat Wydziału Humanistycznego, w którym wypełniam liczne formularze. Dowiaduję się nadto, że będę jedynym zagranicznym słowiańskim lektorem w Instytucie Języ-

dorem i że oczekiwać go będzie na lotnisku liczne grono Polaków pracujących w ambasadzie, a także w Biurze Radcy Handlowego!

koznawstwa Ogólnego (lektoraty języków rosyjskiego i czeskiego „obsługiwane" są bowiem przez miejscowych lektorów). Nade wszystko jednak otrzymuję przykrą informację, że uczelnia nie przewidziała dla mnie mieszkania. Nie mam szansy nawet na pokój w Domu Studenckim. W tej sytuacji decyduję się na odwiedziny ambasady polskiej (na krańcach Lizbony, w Algès). W Ministerstwie wszak poinformowano mnie, że ambasada wszystko dla mnie przygotowała! Tu spotykam kolejne przeszkody. Przede wszystkim spotykam w holu pana, z którym zamieniłem kilka zdań na lotnisku w Madrycie, a który okazuje się... ambasadorem! Pan ambasador kieruje mnie do biura I sekretarza ambasady, p. Eugeniusza Spyry. Niestety, także ten pan informuje mnie, że ambasada nie przewidziała możliwości zakwaterowania mnie w jednym z licznych mieszkań pozostających w jej dyspozycji. Odsyła mnie do pani Celii Barroes w portugalskim Ministerstwie Kultury, która podobno ma możliwości znalezienia mi mieszkania. Wracam więc do centrum miasta, do gmachu Ministerstwa Kultury przy Avenida da Liberdade. W biurze p. Barroes spotykam dwoje innych lektorów języków obcych na miejscowym uniwersytecie, równie jak ja zagubionych: Austriaczkę polskiego pochodzenia (nie zna polskiego) oraz Duńczyka. Mnie „ratuje" z opresji zastępczyni p. Barroes, p. Louisa Fonseca, biegle władająca językiem francuskim. Proponuje mi mieszkanie u swojej matki, p. Ireny Pereira Gonçalves, przy ul. Heliodoro Salgado nr 55 (czynsz: 4 tysiące escudów miesięcznie!).

17.10.79 (środa)

Rankiem wychodzę „na miasto" w celu „rozpoznania" terenu. Jest to wyprawa długa, męcząca, ale zarazem bardzo pouczająca. Uderza mnie wielkość miasta, różnice poziomów, na których jest zbudowane, ale i swoisty jego folklor: gromady psów włóczących się po ulicach. Centrum Lizbony zbudowane zostało przez markiza Pombala w drugiej połowie XVIII wieku (po tragicznym trzęsieniu ziemi w dniu 1 listopada 1755 r.). Wyznaczają je szerokie arterie-ulice oraz pomniki: Pedra IV, João II oraz markiza Pombala. Myślę, że każdemu musi zaimponować rozmach Nowego Miasta. Znakomicie zostały rozwiązane problemy komunikacji. Mimo to nadal tworzą się na ulicach wielkie korki. Kilka godzin spędzam w Parku Henryka VII. Usiłuję uczyć się

języka. W bistro zamawiam jedną kawę, jedną wodę mineralną, jeden sok i jedną kanapkę. Robię także pierwsze zakupy (dżem, kawa-nesca, bułki, jabłka, szynka). Około godziny 17:00 wracam do domu. Pokój wysprzątany. Wieczorem odwiedza mnie wnuk gospodyni (8 lat). Pomaga mi trochę w nauce języka (w zamian za pomoc w matematyce). Powoli coś zaczynam chwytać – bardzo, bardzo mało! Nie tracę jednak nadziei; może będzie lepiej. W księgarni widziałem album o Janie Pawle II (za 250 escudów) – tłumaczenie z belgijskiego wydania. Także książkę Janusza Korczaka (*Jak kochać dziecko?*), wydaną z okazji czczonego tu powszechnie „Roku dziecka".

18.10.79 (czwartek)

Trzeci dzień pobytu w Lizbonie (poniedziałku nie liczę). Jestem w znacznie lepszym nastroju. Rankiem z desperacją wybieram się na zakupy: po bułki, cukier, wędlinę. Przynoszę 6 bułeczek, 1 kg cukru. Gospodyni – wzorem dnia wczorajszego – podaje mi wrzącą wodę w filiżance (duża!). Pierwsze „normalne" śniadanie: kawa, trzy bułki z masłem i dżemem. Jadę na uczelnię – metrem. Za radą gospodyni kupuję 10 biletów – za 62,50 escudy (jeden „normalny" bilet kosztuje 7,50 esc.). Na uczelni dowiaduję się, że mogę wykupić bony na obiady w stołówce pracowniczej Biblioteki Narodowej (tuż obok Fakultetu Humanistycznego!). Pojawiają się pewne kłopoty z kierowniczką stołówki. Pokonuję je jednak. Otrzymuję szansę na wyżywienie w stołówce pracowniczej, z wyjątkiem sobót i niedziel (po 42,50 escudy za obiad). Bardzo tanio. W kolejce do stołówki poznaję zwyczaje (tylko śmiałość pomaga mi w odnalezieniu się w tym prawdziwym lesie: zaczepiam niemal wszystkich z prośbą o pomoc!). Do wyboru są: mięso z frytkami, ryby albo dieta. Decyduję się na „carne", czyli mięso wołowe. Obiad obfity, nie pamiętam kiedy taki jadłem. W Polsce byłaby to porcja befsztyku na 4 osoby! Do tego zupa (chyba grochowa?), bułka, deser (jabłko) i woda. Za dopłatą można wziąć wino lub sok... Jestem w dużo lepszym nastroju.

Po obiedzie siadam na ławce, pod drzewem. Przez dwie godziny usiłuję głośno czytać *Historię Portugalii,* opracowanie popularne. Coś niecoś zaczynam rozumieć. Zgodnie z zapowiedzią idę do prof. Cintry – dziekana Wydziału Humanistycznego. Nie ma go o 3-ej, pojawia się

o 4-tej. Ponieważ w harmonogramie dnia ma konferencję – rozmawiamy krótko. Jest miły i uprzejmy. Informuje mnie o statusie lektoratu języka i kultury polskiej: „libre" – dla wszystkich chętnych. Zebranie pracowników ma się odbyć w dniu 31 października, o godzinie 15-tej, w sali „arabskiej". Wracam do domu, w poprzek miasta. Powoli zaczynam się z nim oswajać. Ogromne odległości! Jest rozłożone na wzgórzach. W domu zasiadam do lekcji języka portugalskiego, do listów, do lektury, do dziennika...

19.10.79 (piątek)

Dzisiaj ogromna wyprawa – piesza – do polskiej ambasady! Około 15 km. Wstałem o siódmej; w piekarni kupiłem sześć bułek. Śniadanie. Około ósmej wychodzę. Idę na drugi koniec miasta, które zaczyna dopiero się budzić (Lizbona podobno idzie spać o pierwszej po północy).

Z wyprawy tej oprócz obolałych nóg wyniosłem dwa mocne wrażenia. Pierwsze – z hali targowej w porcie. To żywioł! Szczególnie porywający jest „oddział" rybny. Ryby niezwykłe, tropikalne, zupełnie mi nieznane, o przedziwnych kształtach. Wrzask przekupniów tak okropny, że właściwie nic nie słychać. Po wtóre – parada wojskowa – na koniach. W śródmieściu miasta, koło „Parku Odkrywców", kompania kolorowych jeźdźców na białych rumakach. Uderza strój i uzbrojenie kawalerzystów (hełmy pamiętają chyba czasy kolonizacji, lśniące w słońcu szable, dziwne pióropusze na czapach...).

Duże wrażenie zrobił na mnie monumentalny pomnik wystawiony w 1860 roku Henrykowi Żeglarzowi. Swoistym arcydziełem jest jednak bez wątpienia Wieża Belém. Co za misterna robota kamieniarska! Trzeba tu wrócić. Podobnie wielkie wrażenie wywiera na mnie opactwo Jerónimos (Hieronimitów). W ambasadzie nie zastałem nikogo, kto chciałby ze mną rozmawiać. Wracam więc na Uniwersytet. W południe – w stołówce i na Fakultecie. Czytam ogłoszenia, próbuję rozeznać się w tym świecie.

20.10.79 (sobota)

Biblioteka i Uniwersytet – zamknięte. Rankiem siedzę przy biurku (od dziewiątej). Usiłuję nauczyć się czegoś z tego języka. Idzie opornie,

ale powoli posuwa się. Szczególnie w lekturze: już jestem na 106-ej stronie *História de Portugal.* I najważniejsze, zaczynam coraz więcej rozumieć. Oby starczyło tylko sił, a może będzie dobrze. W południe wychodzę, bo Gospodynię ciekawi, co będę jadł na obiad. Robię zakupy: 20 dkg szynki, 25 dkg sera, tyleż masła, 2 kg jabłek, 1 kg gruszek (owoce najtańsze w porcie!) – wszystko za około 250 escudów. Przy okazji usiłuję naprawić torbę (odpadł zamek: proszę przypadkowego rzemieślnika o pomoc – pomógł). Od trzeciej do piątej w domu. Pracuję z podręcznikiem języka portugalskiego. O piątej wychodzę, bo Gospodyni sprząta w mieszkaniu. W centrum miasta – koło portu – pożar. Oglądam akcję (właściwie jej koniec). Jak przystało na południowców prowadzona jest w tempie Eskimosów! Bez pośpiechu. Za to gapiów – kilkaset. Wszyscy dyskutują. W porcie chwila zadumy. Ruch statków ogromny. Myśli lecą gdzieś daleko, do swoich... W drodze powrotnej wstępuję do kościoła. Ksiądz odprawia mszę świętą. Z kazania nic nie rozumiem. Ksiądz bardzo mocno gestykuluje. Sama msza – jakże różna od naszych. W kościele sami starsi. Dużo mężczyzn. *Credo* odmówiono tak, że mury się zatrzęsły. Na słowa „przekażcie sobie znak pokoju" ludzie wzajemnie ściskają sobie ręce – w całym kościele. Mnie uścisnęło kilkoro. Wzruszyłem się. Komunię rozdaje obok kapłana – świecki wierny. On też oraz jedna niewiasta spożywają hostię z księdzem i piją wino.

W drodze do domu przekonuję się, że mieszkam niedaleko „dzielnicy miłości". Przechodzę obok – ale żadnego wrażenia: to daleko odbiega od Francji. Dziewczęta brzydkie, źle ubrane, biedne... Dużo starszych, „krakowskich" pań. Wreszcie kolacja i pisanie listów. Przedtem jeszcze – taśma z nagraniem rozmów rodzinnych! Oj, życie, życie ...

21.10.79 (niedziela)

Dziś święto. Pierwsza niedziela na obczyźnie. Samotnie. Ponieważ wczoraj położyłem się spać po jedenastej, trochę dłużej zostaję w łóżku – do w pół do dziewiątej. W ogóle – śpię teraz dłużej, niż w kraju. Chyba daje o sobie znać już pewne zmęczenie nieustanną uwagą: co to jest, co to znaczy, jak się to nazywa? Noc ostatnia była nadzwyczaj miła: po raz pierwszy śniła się mi Mama. Może dlatego, że wczoraj dużo o Niej myślałem (przed tygodniem odbył się Jej pogrzeb). Śniło

mi się, że Mama nie zmarła, a tylko spała. Rozmawiałem z Nią, była – jak dawniej – pełna troski o innych. Uśmiechała się, była zadowolona. Mój Boże, już Jej więcej nie zobaczę.

O jedenastej, po lekcji portugalskiego, ruszam „w miasto". Najpierw – do kościoła. Nabożeństwo w kościele „na skale". Sympatyczny ksiądz. Mówił sporo o jubileuszu miejscowego księdza (25 lat kapłaństwa). Coś niecoś zrozumiałem. Niewiele, niestety, z modlitw. To inny język. Po mszy świętej – ponieważ nie mam obiadu – wybieram się do Fundacji Gulbenkiana, na drugi koniec miasta. Ale warto było. To duże muzeum. Ale także – centrum kultury (biblioteka, kino). Ponieważ wstęp do muzeum w niedzielę wolny – zwiedzam. Zbiory niezbyt bogate, ale jakże cenne. Największe wrażenie zrobił na mnie bez wątpienia Rembrandt (*Portret starca*). Obok inny obraz – *Atena*. Są obrazy Rubensa, Corota, Moneta, Renoira... Dla mnie ważne były jednak obok Rembrandta: Maneta *Chłopiec z wiśniami* i Burne-Jonesa *Wenus* (grupa dziewcząt nad sadzawką!).

W salach wystaw czasowych – wielka ekspozycja sztuki Macau. Sama sztuka nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Ale wrażenie zrobiły tłumy Portugalczyków. To bez przesady – kilka tysięcy ludzi. Wszyscy chodzą po wystawie – najczęściej z rodzinami. Nie tylko po tej z Macau, także i po głównych zbiorach (z antyku – Fidiasz, nadto kapitalna porcelana chińska...). Co za wspaniały obraz obcowania ze sztuką. Wrócę tu za tydzień, sprawdzę. Może to tylko owo Macau? (Obiad zjadam w barze – u Gulbenkiana). W sumie niedziela bardzo udana. Choć na koniec pobłądziłem. Na szczęście miałem mapę. Ale wszystko to zmęczyło mnie.

22.10.79 (poniedziałek)

Rankiem – przygotowałem projekt zajęć. Jadę z tym do ambasady. Przedstawiam p. Spyrze. Obiecuje na jutro przygotować tłumaczenie i powielić w 30 egzemplarzach.

W południe obiad w stołówce pracowniczej. Po obiedzie przychodzi mi do głowy pomysł przygotowania w przyszłości książki o literaturze polskiej dla cudzoziemców. W części pierwszej tej książki należałoby nakreślić obraz naszej literatury (ale nie poprzez prądy, lecz ludzi). Zatem: 1. Klasycy literatury polskiej; 2. Pisarze symbolizmu; 3. Twórcy współcześni. Część druga obejmowałaby bibliografię wskazującą an-

tologie, podręczniki, teksty, opracowania (w obcych językach). Może kiedyś zrobię to. Na razie warto pamiętać. To wszystko.

Po południu i wieczorem – intensywnie uczę się języka portugalskiego. Przez dwie – trzy godziny pomaga mi mały Tiago.

23.10.79 (wtorek)

Znowu dzień wypełniony pracą. Chociaż właściwie zajęć jeszcze nie rozpocząłem. Rankiem chwilę rozmawiałem z Gosposią. Idzie „jak po grudzie". Ale trzeba próbować. Potem jadę do Biblioteki Narodowej. Chcę się rozeznać w jej działaniu. Udaje się. Było trochę – jak zazwyczaj – kłopotów z odźwiernym. W katalogu i w czytelni podglądam innych. Panują tu zupełnie inne zwyczaje, niż w Krakowie. W katalogu wypełnia się własny rewers – zbiorczy. Urzędniczka rozpisuje go na pojedyncze – magazynowe. Z tym wszystkim idzie się do czytelni. Tu urzędniczka daje numer (oznaczenia kombinowane – miałem 01, są B3, G10...) i wrzuca rewersy do otworu. Pocztą pneumatyczną trafiają do odpowiednich magazynów. Za ok. 15 min. – książki mam na stole (przynosi je bibliotekarka). Ruch w bibliotece znikomy. Księgozbiór wydaje się ubogi. Podstawowy jeszcze gorszy. Czytam i robię notatki z Limy (*Stosunki polsko-portugalskie*). Poloników prawie nie ma żadnych!

Po obiedzie – o trzeciej – jadę do ambasady po odbiór powielonych ogłoszeń o zajęciach (zamiast trzydziestu dostaję pięć). Przy okazji rozmawiam z I sekretarzem ambasady, p. Spyrą. Proponuję mu, aby wykorzystać w działalności kulturalnej ambasady zbiory Raczyńskiego z Poznania. „Odbija piłeczkę" proponując mi, aby zainteresować tymi zbiorami Fundację Gulbenkiana. Muszę wykorzystać Janka M[ichalika] do sprawdzenia, co tam jest.

Wieczorem znowu nauka. Ciężko. Ale co zrobić. Zachciało mi się. Co tam robią moi najdrożsi? Dzieci pewno już śpią. Maja chyba czyta. Musi im być ciężko. Oby tylko nie chorowali. Boję się tego. Może dziś dostali mój pierwszy list?

24.10. 79 (środa)

Wreszcie dzień normalnej pracy. Rankiem – po śniadaniu i godzinnej porcji nauki języka – jadę do Instytutu, aby wywiesić ogłosze-

nia o lektoracie. Bez większych kłopotów dogaduję się z sekretarką. Ona wywiesi ogłoszenie koło Instytutu, ja zaś przy wejściu na Fakultet, a także – w gmachu głównym (na tablicy rektorskiej, obok której przechodzą studenci dla dokonania wpisu). Trochę to przykre uczucie, ale co zrobić. Mam mieć dwie grupy: z jedną zajęcia w poniedziałek i czwartek (od dziewiętnastej do dwudziestej pierwszej), z drugą we wtorek i czwartek (od trzynastej do piętnastej). Zobaczymy ilu się wpisze. Oby choć kilku!

Po tym „urzędowaniu" idę do Biblioteki Narodowej. Siedzę tu aż do dziewiętnastej – czytam historię literatury portugalskiej. Rozumiem coraz więcej. Robię notatki. Może przydadzą się w Krakowie? Przygotowałem przy okazji bibliografię podstawowych opracowań. Staram się podchodzić do sprawy metodycznie. Oby choć jedną rzecz zrobić według planu.

W Bibliotece przychodzą mi do głowy coraz nowe pomysły: opracować skrypt-podręcznik z literatury portugalskiej dla polskich studentów (stąd szczegółowe notatki). W ten sam sposób zebrać notatki do zarysu literatury polskiej dla cudzoziemców. Przygotować materiały do biografii Camõesa (w serii: „Ludzie żywi"?). Niechby był jakiś pożytek z tego wyjazdu. Co z tego wyjdzie? Zobaczymy. Na razie mam wielką ochotę do pracy.

25.10.79 (czwartek)

Już dziesięć dni poza domem. Wieści żadnych – bo i skąd? Może w przyszłym tygodniu? Smutno. Tym bardziej że wiem dawno, iż pobyt tu mój potrwa jeszcze długo: ok. 230 dni (do połowy czerwca). Dopiero stąd widzę, jak bardzo związany jestem z rodziną. Brak mi Maji, brak dzieci...

Dziś prawie cały dzień w Bibliotece. Łącznie – 9 godzin. Tylko praca pomaga w przetrwaniu. Pracuję od rana do późnej nocy. Ale w nocy – wracam w snach do kraju. To spotkanie z Mamą, to z Dominikiem i Dagą dokuczamy Maji... Przykre są przebudzenia. Ale wracam do Biblioteki. Zabrałem się do literatury portugalskiej. Dziś „przekopałem się" przez wiek XVI. Sporo. Przeglądnąłem starannie jeden podręcznik (dla szkół średnich – bardzo dobry). Sporo notuję. Wiele rozumiem. Pracuję ze słownikiem (przemycam go do czytelni w kieszeni

– nie wolno bowiem przynosić ze sobą książek do Biblioteki, a tutaj brak słownika portugalsko-polskiego).

W katalogu ogarnia mnie prawdziwe przygnębienie. Prócz Sienkiewicza (*Trylogia* z 1900 i *Quo vadis* – jeden egzemplarz!) – nic. Zupełna próżnia. Mickiewicz – 2 wyd. pol. (wojenne) *Pana Tadeusza* i francuski przekład *Odprawy posłów greckich*. Ani jednego studium o Mickiewiczu, o Sienkiewiczu, o literaturze polskiej. Czemu nasze biblioteki nie dbają o wymianę, czemu wydawcy nie proponują swoich książek bibliotece „narodowej"? Wydawnictwo Literackie z Krakowa wydaje tzw. serię „iberyjską", ale jego dyrektor w liście do ambasady ani słowem nie wspomina o propozycjach dla Portugalii. Ile tu do zrobienia! Zaczynać trzeba właściwie od zera. Boję się w tej sytuacji o zgłoszenia na lektorat. Tym bardziej, że sekretarka skrzętnie ukryła ogłoszenie (na samym dole tablicy ogłoszeń, tuż nad ziemią). Trzeba przepisać na maszynie i rozlepić gdzie popadnie. Inaczej nic z tego nie wyjdzie.

W Bibliotece powoli krystalizują się kolejne pomysły. A zatem: trzeba przygotować dla serii Biblioteki Narodowej *Luzjady* Camõesa. To nie będzie wymagać głębokich studiów. Wystarczy dobre krytyczne wydanie portugalskie i książka o Camõesu. *Luzjady* nie były wydawane od czasów Trzeszczkowskiej. Poza tym – przydałby się skrypt o literaturze portugalskiej. No, i oczywiście – o literaturze polskiej. W poniedziałek muszę pójść do „Ministerstwa Kultury". Mają tygodniowe programy życia kulturalnego w Portugalii. Świetna rzecz. Znajduję ogłoszenie, że w dniach od 9 do 11 listopada będzie w Lizbonie Ionesco. Może uda mi się odnaleźć miejsce jego spotkań?

26.10.79 (piątek)

Prawdę powiedział kiedyś Einstein, że czas jest względny. O jakże względny! Przecież upłynęło ledwie jedenaście dni od czasu mojego wyjazdu z Krakowa, a wydaje mi się, że to już kilka miesięcy! Ile w ciągu tych dni wydarzyło się spraw. Takiego okresu w życiu jeszcze nie przechodziłem. Bo to przecież – cały wrzesień siedziałem przy biurku nad pracą [habilitacyjną] (ponad 500 stron!). Równocześnie przygotowywałem się do wyjazdu. Odbyło się zebranie „Ruchu Literackiego" połączone z przekazaniem redakcji. Później – śmierć Mamy i pogrzeb.

Zaraz potem wyjazd. A tu: codziennie tyle nowych spraw, że dziw bierze, iż temu można podołać. Ale zostawmy to...

Dziś normalny dzień pracy. W Bibliotece rankiem małe nieporozumienie (urzędniczka źle wypełniła rewersy, dali mi inne książki. Zdenerwowałem się. Już miałem wyjść, ale w końcu pomogła jakaś pani znająca francuski). Boże, kiedy będę wreszcie ich rozumiał? Czy nastąpi to kiedyś? Nie wiem. Czytać chyba się nauczę. Ale mówić chyba nigdy?

W budynku Fakultetu Humanistycznego (także u prawników) zawiesiłem ogłoszenia o lektoracie (rankiem napisałem je na maszynie). Przykre to uczucie. Trochę przypomina pracę agitatora politycznego (są tacy przy stacji metra). Ale muszę walczyć. Oby było choć czterech studentów! Zrobiłem wszystko co można. Teraz zobaczę – za około dwa tygodnie. W Bibliotece przerobiłem dwa wieki literatury portugalskiej: XVII i XVIII. Twórczość Portugalczyków z tego okresu zdaje się przypominać literaturę polską. Można tu wskazać i naszego Sępa Szarzyńskiego, i Twardowskiego...

W przerwie przeglądnąłem potężne (bodaj 15 tomów) wydawnictwo francuskie pt. „Humanité": o dorobku kulturalnym, artystycznym i naukowym ludzkości. Smutno mi się zrobiło. Nazwiska polskiego tu nie uświadczysz. Gorzej: popatrzyłem na dział astronomii: Kopernik. Króciutka wzmianka! Charakterystyczne, że została przygotowana na „nie". A zatem – *nie było rewolucji kopernikańskiej, Kopernik nie dowiódł, Kopernik nie wywarł wpływu...* Nie ma reprodukcji wizerunku Kopernika. Ale za to jest cała masa portretów trzecio- i czwartorzędnych uczonych niemieckich czy francuskich.

Wieczorem kolacja. Gosposia to bardzo przyzwoita niewiasta. Kolejny raz podaje mi miskę gorącej zupy. Sympatyczna. Wczoraj rozmawiałem z jej synem – dobrze mówi po francusku (urzędnik). Uczciwi ludzie. Cieszę się, że tu trafiłem. Mogło być przecież gorzej.

27.10.79 (sobota)

Nie zawsze pięciodniowy tydzień pracy jest dobry. Dla mnie na przykład jest to marnowanie czasu. Biblioteki zamknięte, uczelnia też. Trzeba siedzieć w domu. Ale dziś nie siedziałem. Wczoraj zadzwoniła do mnie Polka, która mieszka w Aglès pod Lizboną. Jest stypendystką z Wrocławia. Chciała się spotkać (mieszka u córki mojej Gosposi).

O jedenastej spotkaliśmy się na pl. Pombala. Przegadaliśmy prawie cztery godziny. Dziewczyna nieco zagubiona. Dostała stypendium, ale żadnego programu – prócz nakazu uczęszczania na kurs języka portugalskiego (uczelnia opłaca ten kurs!). Podsunąłem jej pomysł, aby zajęła się recepcją Sienkiewicza, a potem Edwardem Porębowiczem. Ja i tak chyba nie będę miał czasu na Porębowicza. A człowiek ten zasługuje na monografię. Przyjechała w tydzień po mnie. Na lotnisku czekał na nią samochód z ambasady. Zawieźli ją wprost do mieszkania. Widać, że moja rozmowa z p. Spyrą – iż nikt z ambasady nie czekał na mnie na lotnisku – nie poszła na marne...

Dziś sporo godzin nauki języka. Idzie coraz lepiej. W mieście czuć coraz bardziej wybory. To odrębna sprawa. Życie polityczne bardzo tu ożywione. Ludzie nagminnie czytają gazety. Dziś na pl. Pombala odbył się wielki wiec Aliance de Direita – ugrupowania prawicy i centrum. Podobno mogą przejąć władzę. Dość cicho w radio o socjalistach i komunistach. Podobnie w prasie. Walka trwa. Żywe są tu nadal sympatie Salazarowskie i kolonialne (w ubiegłą niedzielę – wielka wystawa z Macau, teraz odbyła się wizyta prezydenta Wysp św. Tomasza i Gwinei-Bissau, o której szeroko piszą w dziennikach!).

28.10.79 (niedziela)

Dziś najgorszy dzień tygodnia. No bo co można robić w niedzielę? Jest to wszak dzień rodzinny. A tu samotność wyłazi z każdego kąta. Na ulicach pełno rodzin. Jak widzę uśmiechnięte dzieci i rodziców mam ochotę rzucić to wszystko i jechać do swoich. Boże, jakże ja się przywiązałem do rodziny! Nie widzę życia poza nią. Dopiero teraz sobie to uświadamiam. Tam nie było czasu. Tam nigdy nie ma czasu. A przecież trzeba znaleźć czas. Trzeba go dać więcej i żonie, i dzieciom. Jednak nie można być takim egoistą. Po powrocie niedziele i święta muszę koniecznie wyłączyć z pracy i w całości poświęcić je dla rodziny. Teraz to widzę jasno. Nie pomogą tu wyrzuty sumienia. Trzeba po prostu zmienić styl życia po powrocie. To będzie przynajmniej jeden pożytek z tego wyjazdu.

Przez pięć godzin włóczyłem się po mieście. Zrobiłem trochę zdjęć („doszedłem" do pomnika ofiar I wojny!). Zwiedziłem kilka kościołów. Smutne i swoiste zarazem to pomniki niegdysiejszej potęgi. Na

zewnątrz – niczym nie różnią się od klasycznych domów. Wewnątrz – wręcz kapią od złota. Barok tutejszy robi przygnębiające wrażenie. Wyraźnie odbiega od naszego, nasz dużo lżejszy. Byłem w kościele-muzeum Trynidade. To pierwszy kościół jezuicki w Portugalii (wybudowany w 1596). Zdaje się być kwintesencją jezuityzmu: marmury, alabastry, złoto, srebro... Relikwie świętych, święci jezuiccy w ołtarzu głównym. A przy tym jakaś oschłość, ziąb. To nie jest kościół do modlitwy. To jest miejsce wystawy potęgi i mocy zakonu.

Wielkie wrażenie zrobiły na mnie ruiny Carême – gotyckiej świątyni. To piękno może urzec. Gotyk południowy. Jasny, kamienny. Tę świątynię ludzie budowali nie dla siebie, ale dla Boga.

W cichych zakątkach miasta kina z filmami porno. Pełno ludzi. Teatry nieczynne. Przynajmniej nie znalazłem jeszcze takiego. W budynkach teatralnych – kina z repertuarem pornograficznym. Na pierwszy rzut oka dość powierzchowna to kultura. Ale to może tylko pierwsze wrażenie?

29.10.79 (poniedziałek)

Wreszcie normalny dzień pracy. Rankiem wysłałem list do Maji (znalazłem dziś urząd pocztowy niedaleko domu, nie będę musiał chodzić aż na Praça do Comerçio). Później jadę do Biblioteki. Tu uśmiechnęło się do mnie szczęście. Wreszcie coś! Okazuje się, że w Bibliotece są trzy tłumaczenia *Luzjad* Camõesa: z 1790, 1880 i 1890. Nadto – jest rękopis tłumaczenia niewydanego (z 1880 roku). Rzeczy te są w czytelni rękopisów. Na razie cieszę się z faktu znalezienia informacji. Zrobię sobie ksero z Trzeszczkowskiej (1890) i będę mógł tutaj pisać nie tylko wstęp, ale i komentarz do wydania dla BN! Ponieważ żelazo trzeba kuć póki gorące, natychmiast napisałem listy: pierwszy – do prof. Stanisława Grzeszczuka, dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej, z prośbą o ksero artykułu Strzałkowej o recepcji Camõesa w Polsce, a także o ksero fragmentów rozprawy Gumowskiego o zbiorach Raczyńskiego (to dla Fundacji Gulbenkiana). Nadto o rozważenie możliwości nawiązania współpracy Biblioteki Jagiellońskiej z tutejszą Biblioteką Narodową. Drugi list wysłałem do dyrektora krakowskiego oddziału Ossolineum, Augustyna Bialica – z propozycją przygotowania *Luzjad* dla serii wydawniczej „Biblioteka Narodowa". Bardzo bym chciał, żeby się udało.

Mógłbym w ten sposób do wakacji wygotować całą rzecz! Radość była tak duża, że ostatecznie niewiele zrobiłem. Zresztą trzeba było wyjść z Biblioteki o wpół do szóstej, bo zrobiło się zimno, a sweter zostawiłem w domu. Poza tym trzeba było zrobić zakupy. Kupiłem – serek, masło, mleko, 25 dkg kiełbasy i proszek OMO (wydałem 180 escudów). W domu Gosposia pyta, co z praniem. Odpowiadam, że będę prał w niedzielę. Nie mam pieniędzy, żeby jej płacić dodatkowo!

30.10.79 (wtorek)

Dzień bez historii. Rankiem wysłałem trzy listy: do prof. Grzeszczuka, do dyrektora Bialica i do Polonicum w Warszawie (prośba o podręczniki). Następnie pojechałem do Biblioteki. Tutaj – do dwudziestej. Czytałem *Historię literatury portugalskiej* – epoka romantyzmu: dość uboga! Dopiero w tzw. II okresie romantyzmu (1875–1900) pojawiają się ciekawi twórcy. W pierwszym rzędzie Quental! Innymi zajmę się jutro.

Trochę otuchy: z dnia na dzień widzę, że coraz lepiej idzie mi lektura. Są fragmenty do pół strony, kiedy nie muszę sięgać po słownik! Jeszcze tak kilka tygodni i powinno być dobrze?! Gdyby tak szło, to może z wiosną podjąłbym się wykładów po portugalsku? Zobaczymy. Jutro zebranie instytutu. Boję się trochę. Ciągle nie mam wieści z domu. A już list powinien nadejść. Może jutro?

31.10.79 (środa)

Cały dzień upływa mi na sprawach związanych z organizacją lektoratu. Rankiem jadę na Uniwersytet, żeby się dowiedzieć, czy zgłosili się już jacyś studenci na lektorat. Ogłoszeń nikt nie zerwał! Sekretarka uspokaja mnie, że wpisy na zajęcia rozpoczną się dopiero drugiego listopada, a właściwie – piątego. Do końca października były wpisy ogólne – w rektoracie (to dwa stopnie wpisu!).

Po trzech godzinach pracy w Bibliotece, w południe przyszła Barbara z Wrocławia. Załatwiłem jej na ten tydzień możliwość stołowania się w Bibliotece Narodowej (kosztowało ją to paczkę „Marlboro" – dla wpuszczającego). Po obiedzie ucięliśmy sobie pogawędkę. Ma 10-mie-

sięczną córkę, męża lekarza. Ale zdecydowała się jechać do Lizbony, mając przed sobą perspektywę objęcia funkcji lektorki języka portugalskiego na Uniwersytecie Wrocławskim. Sytuacja tam podobna do tej na UJ. Chcą otworzyć lektorat portugalski.

O trzeciej po południu (a właściwie o 14:30) – na Fakultecie zostało zwołane zebranie Instytutu! Boję się. Zebranie zaczyna się z 40-minutowym opóźnieniem. Pomaga mi trochę sekretarka. Poznaję jedną z pracownic. Ta przyprowadza koleżankę. Chwila rozmowy (po francusku) – sympatycznie. Przedstawiam się dwóm młodym panom. Jeden, owszem, sympatyczny (brodacz). Drugi mniej. Przed rozpoczęciem zebrania podchodzę do pani profesor Mateus. Przedstawiam się. I to wszystko. Ni słowa więcej. Siadam i siedzę trzy i pół godziny. Dopiero po pół godzinie przyszedł prof. Cintra – podszedł do mnie, powiedział, że nie muszę siedzieć, ale ja postanowiłem zostać. Dyskusje pachną średniowieczem! Dysputy to, a nie dyskusje. Ustalają harmonogram zajęć naukowych, trochę mówią o harmonogramie dydaktycznym. Najwięcej o sposobach postępowania ze studentami (dyscyplina zajęć, formy egzekwowania wiadomości, testy...). Około dziewiętnastej wychodzę. Żegnam się z kilkoma osobami (zamieniam kilka słów z prof. Cintrą).

W domu – kolacja. Nie ma listu! Jutro Święto Zmarłych. Myślę o Mamie, o domu. Smutno.

1.11.79 (czwartek)

Dzień Wszystkich Świętych. Szczególny to dzień. Wracamy pamięcią do tych, którzy byli z nami: dawniej, niedawno, wczoraj jeszcze... Byli. Dziś odwiedzamy ich groby, czcimy ich pamięć. I w geście tym jest z pewnością trochę zadośćuczynienia tym, którzy żyli, którzy dali nam życie, którzy nas wychowali, dali nam wiedzę... Ale jest też i swoista próba zmierzenia się z tym, co stanowi odwieczną i główną tajemnicę istnienia: ze śmiercią. Pragniemy podtrzymać życie tamtych, którzy odeszli. Jest w tym wszystkim zapewne i łut nadziei – na to, że kiedyś na nasz grób przyjdzie ktoś nam bliski i wspomni nas...

Piszę te słowa ze szczególnym spokojem, choć dzień nie był wcale spokojny. Powracała wciąż myśl o Mamie; o tej kobiecie, która w życiu swym nade wszystko ukochała pracę i troskę o innych. Pracowała za-

wsze. Nie tylko wtedy, gdy była zdrowa. Także i wtedy, gdy chorowała. Jak długo pamiętam Jej postać, zawsze widzę Ją przy pracy. Przy kuchni, w ogrodzie, przy kopaniu ziemniaków, przy noszeniu w płachcie karmy dla krów... W późniejszym wieku zawsze była obarczona gromadą wnuków. Ale ta *pracowita* – w tym najlepszym znaczeniu tego słowa! – kobieta miała czas na zajęcie się innymi. Troszczyła się o dzieci, o wnuki. Powtarzała nam: pieniędzy wam nie dam, weźcie na drogę życia szacunek do pracy i mądrość życia. O, bo to była mądra Matka. Wiedziała, jak wychowywać. Wiedziała też, że dzieci potrzebują ciepła. Toteż można Jej było powiedzieć wszystko. Na wszystko znalazła radę.

Ostatnia moja szczera i długa rozmowa z Mamą odbyła się w czerwcu. Powiedziała mi wtedy: dziecko, bądź wiernym sobie i swoim. Masz dobrą żonę, udane dzieci. Bądź dla nich dobry.

Ostatnie spotkanie odbyło się na dziesięć dni przed Jej śmiercią. Żegnaliśmy się długo. Ja wierzyłem, że jeszcze Ją zobaczę. Ale Ona wiedziała, że było to nasze ostatnie spotkanie. Uścisnęła mnie mocniej jak kiedy indziej ...

Chciałem dziś uczcić Jej pamięć na cmentarzu tutejszym. Poszedłem na cmentarz św. Jana. Długo nie mogłem ochłonąć z przerażenia. Boże, to jest cmentarz?! Uliczki białych kapliczek. Zza bramy każdej z nich widnieje stos przykrytych kapami trumien. Przychodzą krewni – robią porządki! Czyszczą owe kapy, zamiatają, dają kwiaty... W dalszych partiach cmentarza – groby z lat ostatnich – ziemne. Numery, numery, numery ... Tu i ówdzie kwiaty. Wszędzie zapadające się dziury – to ziemia zabiera swoją daninę. Wreszcie trzecie miejsce: ogromne aleje murów. Wielopiętrowych. W murach tych maleńkie dziury, zamykane na klucz. A w tych wnękach – prochy zmarłych w urnach. Tysiące tych ściennych grobów. Ale największe wrażenie zrobiły na mnie nawet nie owe uliczne kaplice i ścienne groby, ile... ludzie. Zachowują się na cmentarzu jak na placu targowym. Głośno rozmawiają, śmieją się, palą papierosy. Przekupnie chodzą po alejach i sprzedają świece. Ludzie zajęci są przede wszystkim porządkami. Na dobrą sprawę nie widać nigdzie smutku (tylko jedna starsza kobieta głośno opłakiwała syna). Wszędzie na pomnikach widnieją napisy: *Niech odpoczywa w pokoju*. Ale ci, co tu przyszli, nie dają tym zmarłym spokoju w dniu ich święta. Wygląda na to, że wizytę na cmentarzu traktują jak obowiązek. Dużo ludzi nie wie, gdzie są groby ich bliskich. Z karteczkami w ręku (z administracji!) szukają numeru grobu...

Po czarnych, dla nas – żałobnych strojach, których pełno na ulicy, sądziłem, że ci ludzie głęboko przeżywają tajemnicę śmierci. Ale nie. W centrum cmentarza wznieśli potężne krematorium. Jest nieczynne. W przebudowie. Ponieważ szły tam tłumy, poszedłem i ja. Straszne. Rodzice prowadzą tu swoje dzieci i pokazują to straszne miejsce jako ciekawostkę... Czyżby nie myśleli? Może nie chcą. Spieszą się. Żyją dniem dzisiejszym. I tylko dniem dzisiejszym. A może myślą, ale inaczej. Na swój sposób. Bardziej prosty, naturalny. Kiedy widziałem kobiety z przejęciem zabierające się do sprzątania kapliczek czy obcinania kap, miałem wrażenie, że trumny, o które się ocierają, są dla nich sprzętem podobnym do łoża, stołu... Może w tym tkwi tajemnica ich rozumienia śmierci?

Rozgwar, pełne życie weszło dziś na portugalskie cmentarze. Nie znalazłem tu miejsca dla siebie. Nie mogłem się skupić. Poszedłem przed siebie. Trafiłem do głośnej dzielnicy Alfama. Wszedłem tu na chwilę – życie toczyło się normalnie. Na wąziutkich uliczkach przewieszone sznury, a na nich pranie (wszędzie kapie). Dookoła bary, restauracyjki, kawiarnie. Nagle zobaczyłem potężny barokowy kościół. To – jak się z mapy okazało – kościół św. Ignacego. Zamknięty. Ale widać, że jeden z wielu świadków niegdysiejszej chwały – stoi dziś jeśli nie w ruinie, to w cichym zapomnieniu. Na mapie odnajduję kościół Matki Bożej. Podchodzę. Okazuje się, że jest to muzeum. Kościół i konwent na zewnątrz bardzo ubogie, wewnątrz kapią od złota. Nie mogłem. Wyszedłem. Może wrócę. Wreszcie widzę jakiś otwarty kościół. Nie – to nie kościół. To monumentalny Panteon Narodowy. Wchodzę. Pierwszy grobowiec – Vasco da Gamy. Dalej – Henryka Żeglarza, Camõesa. A zatem znalazłem! W bocznej sali – poetów – grobowiec Almeidy Garretta, największego bez wątpienia dramaturga i poety portugalskiego epoki romantyzmu. Pojawia się nagle przewodnik, który wiezie mnie na szczyt mauzoleum. Widok niezbyt ciekawy. W jednej z dolnych sal przewodnik pokazuje mi kryptę, w której wieczny spoczynek znaleźli prezydenci Portugalii. Odnajduję tu nagrobek Teofila Bragi, prezydenta Portugalii, a zarazem – wybitnego historyka literatury portugalskiej! Jak powiada przewodnik, Salazar pochowany został w Coimbrze. Daję mu 10 escudów i wracam do krypty odkrywców. Dziwne. Dziś święto zmarłych. A tu, w Panteonie, na grobach największych Portugalczyków, ani jednego kwiatka, ani jednej świeczki. Tylko chłód muzeum. I cisza przerywana ściszonymi rozmowami nielicznych turystów.

Po wyjściu z Panteonu błądzę po nadbrzeżnej dzielnicy. Docieram do katedry. Wreszcie świątynia przypominająca Europę. Wchodzę. Jakiś gotyk południowy, z elementami stylu orientalnego. Cisza, mrok. Mury. Krzyżowe sklepienia. Jest i jeden witraż (bodaj pierwszy, jaki zauważyłem w kościołach Lizbony!). Odpoczywam. Nabieram sił. A jednak ludzie ci zbudowali kiedyś coś pięknego! Powoli wracam do śródmieścia. Na Praça do Comerçio – jak zawsze tłumy przekupniów i żebraków (choć dziś przede wszystkim poszli oni w okolice cmentarzy), spotkania zakochanych, tłumy spacerowiczów... Po prostu normalny dzień. Dla nich tak. Ale dla mnie? To dzień święty! Dzień pamięci ... Jak wiele nas różni. Historio – Matko coś uczyniła z nami, Europejczykami?!!

2.11.79 (piątek)

Ciągle nie mam listu z domu. A byłem prawie pewien, że dziś będzie już na pewno. Przecież to już blisko trzy tygodnie od mojego tu przyjazdu. I do tego – poczta lotnicza! Nie wiem, co się dzieje. Dziś nie spałem od czwartej nad ranem (to już druga noc taka – z rzędu). Przychodzą najgorsze myśli – że się coś stało, że chorują dzieci... O, jak ciężkie są te godziny! Dziś wstałem o siódmej (co tu jest bardzo wcześnie!). Wziąłem z kuchni dwie stare bułki (Gospodyni wyszła do sklepu po świeże pieczywo), zostawiłem 5 escudów, zjadłem śniadanie i wyniosłem się. Nie mogę siedzieć w domu. W tłumie łatwiej zapomnieć. Tu wszystko mi przypomina dom, Maję, dzieci. I ta skarbonka – globusik (Boże, jaki to świetny był pomysł moich dzieci: Dagmary i Dominika!), a także zdjęcia (dwa, rodzinne, stoją na szafie).

Od dziewiątej w Bibliotece. Zgodnie z planem zabrałem się do pisania „Wstępu" [do *Złotej legendy chłopów polskich*]. Z Biblioteki wyszedłem o dwudziestej trzydzieści. Napisałem dziewięć stron. Wydaje mi się, że dobrze. Ale jestem bardzo zmęczony. Zjadłem dwie bułki z serem, popiłem herbatą i siadłem do biurka, żeby popracować nad językiem. Ale na dobrą sprawę nie mam ani siły, ani ochoty. Puściłem sobie taśmę z „Czerwonymi Gitarami" (pierwszy raz od przyjazdu). Zapachniało mi domem. I jak tu myśleć o portugalskim!

Gosposia oświadczyła mi, że dzwoniła na uniwersytet w sprawie moich poborów (ta dba o swoje!). Mam dostać w poniedziałek. A we

środę mówili, że dopiero dwudziestego czwartego listopada. Pojadę w poniedziałek. Zobaczymy.

3.11.79 (sobota)

Dziś od rana zabrałem się za siebie. Najpierw w czasie nieobecności Gosposi: kąpiel. Po jej przyjściu – „wielkie" pranie. To sprawa tylko na pozór prosta. Szczególnie, gdy się robi to po raz pierwszy u kogoś, nie u siebie w domu. Ale trzeba było zabrać się do roboty. Prałem blisko godzinę: cztery koszule i bieliznę osobistą. Jakoś poszło. Nawet niezgorzej. Gosposia kilkakrotnie „podpowiadała" mi: a to przewrócić skarpety, a to przewrócić koszulę... Ale w końcu udało się.

Po praniu i jednej godzinie pracy własnej idę na zakupy: kilogram jabłek, kilogram pomarańczy, trzy piwa. Zjadam obiad (dwie bułki z szynką i piwo) i wybieram się na miasto. Robię zdjęcia pomników. Ale przede wszystkim patrzę na ludzi. Ile tu jeszcze nędzy. Na każdej ulicy, przy każdym rogu – żebracy. Jedni po prostu wyciągają rękę, inni mają coś w rodzaju skarbonek. Dużo ludzi nieszczęśliwych. Kaleki: bez nóg, po chorobie Heine Medina, nieszczęśnicy z jakimiś guzami... Wszyscy starają się pokazać jak najbardziej swoje nieszczęście, odkryć je. Najwięcej jednak niewidomych, z białymi laskami. Są starzy, w wieku dojrzałym, ale i dzieci. To już nie folklor wielkomiejski, to poważny problem społeczny.

Niedaleko od żebraków stoją czyściciele butów (całe gromady, głównie w centrum, w tym dzieci!), sprzedawcy pieczonych kasztanów, handlarze starzyzną. Handluje się tu wszystkim! Kilka starych książek, parę rupieci... Byle przeżyć. Przechodnie dają niewiele. Najwięcej ci, co sami doświadczyli nieszczęścia.

4.11.79 (niedziela)

Dziś urodziny Dagusi. Ma dwanaście lat! Już dwanaście! Prawie cały dzień upływa mi wokół spraw rodziny. Wszak to trzecia niedziela w Lizbonie. Po kawie (zapomniałem kupić bułek, prosiłem Gosposię, dałem jej nawet pieniądze, ale ona też tego nie zrobiła!) idę do kościoła. Dziś modlę się u „Aniołów". Kościółek XVIII-wieczny. Mały.

Ale za to bogato zdobiony wewnątrz. Ludzi dużo. Ksiądz mówi przede wszystkim o narkotykach i wyborach (przeciw partiom ateistycznym!). Bardzo ładnie śpiewa pieśni młoda dziewczyna (chłopak przygrywał jej na gitarze). Później spieszę do Alfamy i na górujący nad całą Lizboną Zamek św. Jerzego. To dzielnica niezwykła: wąziutkie uliczki, wszędzie bary i restauracyjki. Życie toczy się na ulicy. Chyba nie wybrałbym się tu wieczorem. Zamek – to ruiny. A w nich – minizwierzyniec (ptaki w klatkach).

W małej restauracyjce w Alfamie zjadłem obiad – przecież na dobrą sprawę bez obiadu jestem od środy (w piątek byłem w stołówce – ale była obrzydliwa peixe'a). Zamówiłem sobie zupę (*caldo verde)* i *cosindo portuquese*. Do tego lampka wina. Porcja jedzenia ogromna: było tu wszystko: ziemniaki, ryż, gotowana kapusta, kawałki wieprzowiny (golonko), kawałki kiełbasy, jakaś czarna kiszka... Za te smakołyki zapłaciłem prawie 150 escudów. Niby dużo, ale właściwie to nie (w Polsce byłoby to – proporcjonalnie do moich zarobków – 50 zł!!). W czasie tej wyprawy podjąłem decyzję, że jadę do domu na święta Bożego Narodzenia. Na całe trzy tygodnie. Inaczej nie można. Na Wielkanoc przyjechałaby Maja. Tylko tak można sprawę załatwić. Piszę zaraz do Maji. Może jutro będzie wreszcie jakiś list?!

5.11.79 (poniedziałek)

Dziś od rana spodziewałem się listu. Właściwie to zaczęło się wcześniej. Przebudziłem się nocą, o wpół do drugiej i nie zasnąłem aż dopiero gdzieś koło wpół do siódmej (spałem do ósmej). Zbyt wielkie wrażenie wywarła na mnie decyzja wyjazdu na święta (list do Maji!). Niestety, listu się nie doczekałem. Nie pomógł nawet pająk, którego odkryłem w Bibliotece (pierwszy raz myślałem o tym, że sprawdzi się powiedzenie Maji o pająku!). Z rana poszedłem do Instytutu i do p. Fatimy – po pieniądze. Nici z tego. Dostanę dopiero dwudziestego czwartego listopada. Wcześniej, dziewiętnastego, mam jeszcze coś podpisać. Ale wizyta była bardzo owocna. Okazuje się, że mam dostać podwójną pensję za grudzień! To opłata mojego przejazdu do domu! Jestem szczęśliwy. Nadto – pieniądze te mam dostać przed dwudziestym grudnia. Czyli będę mógł je wziąć ze sobą.

W Instytucie nic nowego. Wpisy dopiero we czwartek. Zajęcia mam rozpocząć dopiero piętnastego. Prosiłem sekretarkę o wywieszenie ogłoszenia. Zobaczę jutro. Podobno kilka osób pytało o lektorat.

W Bibliotece niedługo. Strasznie opornie idzie mi ten „Wstęp" do *Legendy*. Ale może jutro skończę pierwszą wersję?

Wysłałem list do domu – znaczki wybierałem dla Dominika. Może się mu spodobają. Wracając z poczty odkryłem uliczkę [ze sklepami] upominków i zabawek dla dzieci. Pójdę tam, gdy będę miał forsę. Po dwudziestym czwartym.

Wieczorem – przygotowałem dwie lekcje języka polskiego (do powielenia), napisałem podanie do ambasadora o 7 tys. esc. pożyczki i przepisałem podanie o dofinansowanie. Zobaczymy, jaki będzie skutek. Może chwyci?!

6.11.79 (wtorek)

Rano w ambasadzie. Złożyłem pismo w sprawie dofinansowania. Także podanie do ambasadora o 7 tys. pożyczki (komorne). Wreszcie – dwie pierwsze lekcje do powielenia. Rozmawiałem z p. Spyrą w sprawie książek dla prof. Widłaka [dyrektora Instytutu Filologii Romańskiej na UJ]: rzecz można załatwić poprzez Instytut Kultury Portugalskiej (prześlą ok. 400–500 książek – potrzebne pismo!).

W ambasadzie zostaje mi podrzucony młody człowiek. Przedstawia się jako Jerzy P. – ksiądz zakonny – werbista. Przyjechał do Portugalii uczyć się języka. Następnie ma udać się do Angoli. Postawił kawę i lampkę brandy. Dziwny trochę ksiądz. Zobaczymy. Po popołudniu w Bibliotece. Do wpół do dziewiątej. Zbliżam się do końca „Wstępu". Zdaje się, że coś z tego będzie.

W nocy koszmar – nie śpię od wpół do drugiej do wpół do siódmej. Bezustannie myślę o domu i dzieciach. Listu nie ma. Chodzę cały dzień rozdrażniony.

7.11.79 (środa)

Dzień niezwykły. Chyba więcej się nie powtórzy. Bogaty. A jakże. Najpierw noc: znowu nie spałem co najmniej dwie godziny. Później

śniły mi się jakieś koszmary, trupy (to obsesja od czasu Święta Zmarłych!)... Ale wszystko się sprawdza.

Jadę do ambasady – po obiecane pieniądze (pożyczkę!). I co? Zostaje mi odmówiona! Tak. Pan ambasador nie zgadza się! Owszem, gotowi są interweniować poprzez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, ale pożyczki nie dają. Pan Spyra uprzejmy, ale stanowczy. Trudno. Szok to dla mnie tak duży, że jadę do stołówki prawie nieprzytomny. Spotkana u p. Spyry Basia Hlibowicka próbuje mi wytłumaczyć sprawę w różny sposób. Nie idzie. Są na świecie rzeczy niewytłumaczalne. A jednak...

Po południu, i kilkugodzinnym pobycie w Bibliotece, o siedemnastej spotkanie z księdzem Jerzym! Zaprasza nas [tzn. mnie i Basię] na kolację. Długo błądzimy, wreszcie siadamy w restauracyjce przy pl. Rossio. Tematy bardzo różne – od teologii po politykę. Nie żałuję jednak tych trzech godzin. Była to bowiem kolacja nadzwyczaj udana. Okazuje się, że nie ma rzeczy niewytłumaczalnych. Wszystko wskazuje na to, że nasz ksiądz – werbista odrobił zadaną mu lekcję na dostateczny (może z plusem, bo jednak jest sympatyczny). Nie mam najmniejszych wątpliwości, że należy do zakonu *świętych werbowników*. No cóż, każdy musi z czegoś żyć. Chłopak przygotował się, jak mógł. Ale mimo wszystko nie najlepiej. Poczuł wolność. Ma szeroki gest (*„dopiszę do rachunku!"*), chce imponować. Biedny. Inteligencja, owszem, średnia. Ale za granicę można byłoby wysyłać lepszych ludzi.

No cóż, pieniędzy nie dostałem i nie dostanę. Przeżyję. Z księdzem mogę rozmawiać, choć to niezbyt pouczająca lekcja. Ale dlaczego wstrzymują wszystkie listy do mnie ? Czy Maji także nie przesyłają? To byłoby zbyt wielkie świństwo. Z dofinansowaniem muszę się pożegnać. Mimo wszystko przeżyję te parę miesięcy. Ale to przecież wszystko nie ma najmniejszego sensu!! Po co to robią? To chwyt zbyt prostacki.

Listu oczywiście nie ma. „Wstęp" – skończony (na brudno). A jednak będę robił swoje. I tylko swoje! Koniec.

8.11.79 (czwartek)

Dziś „odpoczynek" po wczorajszych mocnych przeżyciach. W nocy wszystko przemyślałem. I właściwie uspokoiłem się. W końcu sprawy wyglądają dosyć prosto: wszystko wskazuje na to, że listy Maji „odpoczywają" po drodze. Ja mam popaść w taki stan ducha, że będę skłonny słu-

chać każdego z osobna i wszystkich razem: no bo – bez wieści z domu, bez pieniędzy... Jedyne, co mnie podtrzymuje na duchu, to wiara, że listy doszły do Maji i dzieci. Inaczej – nie przebaczyłbym im nigdy!

Znalazłem lekarstwo na dolegliwości: stosuję go zresztą od dawna, od mniej więcej dwudziestu pięciu dni: praca w Bibliotece. Dziś byłem w Bibliotece już o dziewiątej dwadzieścia (na dziesięć minut przed otwarciem). Siedziałem – z przerwą obiadową – do dwudziestej. I właściwie nie jestem zmęczony. Czytałem tom studiów brazylijskich o Camõesie!!

Byłem na Fakultecie. Zajęć ciągle nie ma. Może dopiero po piętnastym. A właściwie – podobno od dziewiętnastego. Sekretarka powiedziała mi, że dziewiętnastego listopada jest zebranie studentów i pracowników Instytutu Lingwistycznego. To taka „oficjalna" inauguracja pracy. Boże, przecież za trzy–cztery tygodnie będzie Boże Narodzenie! Kiedy oni mają się uczyć?

Pytałem o studentów. Nie ma jeszcze ani jednego wpisu. Ale na lektorat arabskiego też nie ma. Jeden student wpisał się na lektorat języka chińskiego.

Wymyśliłem jeszcze jedną formę aktywizacji propagandy: wezmę z ambasady stare numery „Polski", do środka włożę informację o lektoracie i rozrzucę po Fakultecie. Może się uda?

9.11.79 (piątek)

Listu nadal nie mam – dwudziesty szósty dzień pobytu! Wprawdzie wiem, co się dzieje (doświadczenia ostatnich dni przekonały mnie o tym), ale mimo wszystko... Już coraz gorzej znoszę samotność. Co się dzieje z dziećmi, z Mają? Boże, pocieszam się, jak mogę, ale co z tego. List powinien być już co najmniej od tygodnia! Smutne to wszystko. Za pięć tygodni będę w domu. Ale teraz, liczy się teraz... Jutro nie, w niedzielę nie, może w poniedziałek? Musi być w poniedziałek, bo inaczej będzie źle ze mną.

Dziś rano byłem w ambasadzie. Wczoraj o jedenastej wieczorem otrzymałem telefon od p. Spyry – właściwie to rozmowę tę zrozumiałem jako wezwanie. Stawiłem się też o dziesiątej. Byłem u Spyry ok. półtorej godziny. Odbyłem szczerą rozmowę, bardzo szczerą. Mam nadzieje, że nie powtórzy się sprawa z pseudo-księdzem P. (umówił się

na niedzielę z Barbarą). Nie mam nic do stracenia, ale nie znoszę amatorszczyzny. A to straszna amatorszczyzna. Boże, jak nisko mnie wyceniono?! Czego oni się obawiają? Przyjechałem tu zakładać lektorat, to założę. I to wszystko. Nic nadto. Po dzisiejszej rozmowie mam nadzieję, że przynajmniej z jednej strony, tzn. od Spyry, będę miał pomoc. Choć kto wie? Życie niesie tyle niespodzianek. Niekiedy nie należy być zbyt spostrzegawczym. Tylko że ten młodzieniec mnie zdenerwował – zachowałby choć trochę umiaru. Niechby już przedstawił się, że jest inżynierem, ba – dentystą, grabarzem, bądź po prostu górnikiem. Ale po co ta maskarada z księdzem? On ostatni raz w kościele był chyba na chrzcie...

Dziś urodziny Gospodyni. Dałem jej małą butelkę „jarzębiaka" – bardzo zadowolona. W końcu nie jest złą kobietą.

10.11.79 (sobota)

Dziś wielki dzień: pierwsza poczta! Rankiem dostałem dwa listy: od Janka Michalika i od siostry Heli z Radłowa. W obu sporo wiadomości o Maji i dzieciach. Podobno Dominik miał grypę, teraz Daga choruje (drugiego listopada). W Krakowie była Babcia ze Suchej. Miejmy nadzieję, że już po kłopotach. Ale współczuję Maji – musi się męczyć. Bo to i zajęcia, i dom, i dzieci... Nie, nie ma sensu taka rozłąka. Co innego być tu z całą rodziną, co innego samotnie. Dzieci winny mieć ojca, żona męża – takie są prawa i trudno je zmieniać.

Wczoraj wieczorem zaprosiła mnie Gospodyni na małą uroczystość urodzinową – były kasztany, figi... Była córka jej z dwoma synami – w wieku moich (dwanaście oraz pięć i pół roku). Wziąłem starszego na chwilę do siebie – pod pozorem nauki francuskiego. Ale to sensowny chłopak. Ojca nie ma – zmarł im przed rokiem. Widziałem, że chciał pogadać, cieszył się, że rozmawia z kimś, kto mógłby być jego ojcem. Są to sprawy niełatwe.

Widzę, że dziś rodzinnie. Ale to dlatego, że te listy... W Krakowie – po staremu: gonitwa, sesje, odczyty, spotkania... Nie zaskoczył mnie wcale Staszek J., który miał powiedzieć Jankowi, że... moja praca [habilitacyjna] winna być formalnie przyjęta do druku (choć tak nie jest!). Ale znam jego poglądy. Zresztą nie wobec wszystkich jednakowo stosowane. No cóż – jak powiadają – przyjaźń zobowiązuje! Nie, nie

spodziewam się cudów, chodzę po ziemi. Ale ludzie zazdroszczą nawet tego... mojego łażenia po ziemi. Nie pierwszyzna to. Przejdzie.

Zimno w domu. Po południu musiałem się przejść. Zjadłem w barze dobradę, czyli miksturę flakowo-fasolową (z jedną bułką i jedną lampką „domowego" wina) – za 52 escudy! Znakomite.

11.11.79 (niedziela)

Dziś dzień uroczysty. Wszak mija pierwszy miesiąc od śmierci Mamy. Rano byłem w kościele. Później w domu. Usiłowałem pracować, ale było tak strasznie zimno! Na „obiad" zjadłem dwie bułki, które popiłem herbatą. Ale nie minęło. Otworzyłem butelkę „Soplicy" – leżała w walizce od przyjazdu. Strzeliłem sobie jednego. Trochę pomogło – przynajmniej przestałem się trząść z zimna. Ale o pracy ani mowy. Wychodzę na miasto.

Około piętnastej jestem w centrum: na Praça do Comerçio. Czytam „Tygodnik Powszechny" z 4 listopada (zabrałem z ambasady). I nagle olśnienie: przecież mam cel – robotę na kilka najbliższych lat. Powolutku rozpatruję ten plan – wygląda nieźle. Tym bardziej, że od dawna wokół niego krążyłem, nie umiejąc go tylko ująć w całość. No i teraz, w Lizbonie! A zatem: będzie to „Komedia polska" (na wzór – *boskiej*, *nie-boskiej* czy wreszcie *ludzkiej*). „Dramat polskiej historii – dramat narodu polskiego". Składać się winna z trzech części: *Inferno, Purgatorium, Paradiso*. Każda po ok. 30 arkuszy. Obejmie sprawy związane ze świadomością historyczną Polaków w ostatnich dwóch stuleciach (od schyłku XVIII w.). O *Infernie* już dawno mówiłem. Do tego dojdzie – *Czyściec* (chyba głównie o tzw. *letnich* Sarmatach, ludziach z pogranicza). Nadto *Raj* (o narodowych bohaterach). Każda z części musi być poprzedzona esejem ogólnym, dopełniona zaś *Zamknięciem*. W środku sylwetki ludzi. Dużo ilustracji. Całość poprzedzić rozprawą o *świadomości historycznej* (trzeba zwrócić uwagę na trzy jej odmiany: historyczną, legendową i mityczną). „*Złota legenda chłopów polskich*" byłaby zatem wprawką przed tym zamierzeniem. Część materiałów (np. o Szeli, Bartoszu) – weszłaby do nowej całości[3].

[3] Dziś mogę tylko dodać, że na swój sposób zrealizowali ten mój zamysł prof. prof. Ja-

Ważna sprawa: podstawą musi być materiał. Ale decyzja ostateczna własna. Nie może to być dzieło *obiektywne.* To musi być rozprawa kontrowersyjna. Ale temat wspaniały, na parę dobrych lat! Muszę go wykonać. Inne sprawy – na marginesach (*Camões*, *Gaszyński*..). Oby tylko nie dać się zniszczyć przyczynkom. Trzeba mieć konkretny cel, reszta się nie liczy. Od wakacji zaczynam. Tylko metodycznie (konieczna kartoteka!). Pośpiech niezbyt wskazany, ale odciągać nie należy: póki są siły i ochota do roboty. Cóż – życzyć by sobie należało tylko – *Szczęść Boże!* (może ten pomysł wiąże się z dniem dzisiejszym, z „miesięcznicą" śmierci Mamy, z dniem św. Marcina?!)

Napisałem list do moich Najbliższych. Jutro wysyłam. Zachwycony pomysłem zapomniałem o tym, że obiecałem sobie opisać jedną sprawę z zakresu obyczajowości portugalskiej. Przez ok. trzy godziny włóczyłem się dziś po mieście: ot, tak sobie, trochę dla zabicia czasu, trochę dla „myślenia", trochę dla obserwacji. W czasie tej włóczęgi doszedłem do wniosku, że Portugalia (przynajmniej – Lizbona!) przeżywa znamienną eskalację pornografii. Kraj tradycyjnie katolicki okazuje się krajem dosyć płytkim. Wraz ze zmianami politycznymi nadeszły zmiany obyczajowe. Na każdej niemal uliczce znajdują się stoiska z kolorowymi czasopismami porno. Wszędzie książki w krzyczącej porno oprawie. Byłem dziś w wielu bocznych uliczkach Avenidy da Liberdade. Okazuje się, że w kilkunastu kinach grają wyłącznie porno filmy. Fotosy *à la Pigalle*. Pomijam już sprawę obecności na tych uliczkach przedstawicielek *najstarszego zawodu świata*. Te kobiety wystają wszędzie, na większości ulic. Z zasady są brzydkie, źle ubrane, chyba brudne. Ale na szczęście nie atakują przechodniów. Natomiast porno atakuje. To przejaw zachłyśnięcia się wolnością, odkrycia nowych możliwości. Dziwne to, ale nie przystaje mi do naszej kultury. Nawet we Francji, *przewodniczce* w tej dziedzinie, jest inaczej (przynajmniej było inaczej sześć lat temu). Tu porno przemawia z każdego niemal kąta. Znamienne, że mimo poszukiwań nie znalazłem natomiast żadnego czasopisma literackiego (widziałem je tylko na wystawie w zamkniętych dzisiaj księgarniach!). Przykre to, ale świadczy chyba o niezbyt głęboko zapuszczonych korzeniach tej kultury. Potwierdza to zresztą

nusz Tazbir i Zofia Stefanowska – jako redaktorzy trzech tomów studiów pod tytułem: *Życiorysy historyczne, literackie i legendarne* (Warszawa 1984–1992).